NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwart. bez odn. w miejscu 11300·— Mk. z przes. 12000·—Mk. Półrocznie 24000·— Mk. Rocznie 48000·— Mk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Ceny ogłoszeń: Od miejsca wiersza milimetrowego jednoszpaltowego na str. ostatniej Mp. 200., od miejsca wiersza milim. jednoszp. w części redakcyjnej Mp 600.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem.

Numer pojedynczy 1000 Marek

Rok XX. Kraków, 17 lutego 1923. Nr. 7.

Zamordowanie metropolity prawosławnego w Warszawie



Ceremonia wyniesienia z cerkwi zwłok metropolity Jerzego w Warszawie. Fot. S. Wolski, Warszawa.

Zamordowanie metropolity prawosławnego w Warszawie.

(Do illustracyi tytułowej i illustracyi w tekście).

W Warszawie dokonana została zbrodnia, która ma głębsze znaczenie polityczne. Ofiarą jej padł metropolita prawosławny Jerzy, a mordu dokonał zasuspendowany archimandryta Smaragd, b. rektor seminarjum duchownego w Chełmie. Zbrodnię popełniono w okolicznościach następujących.

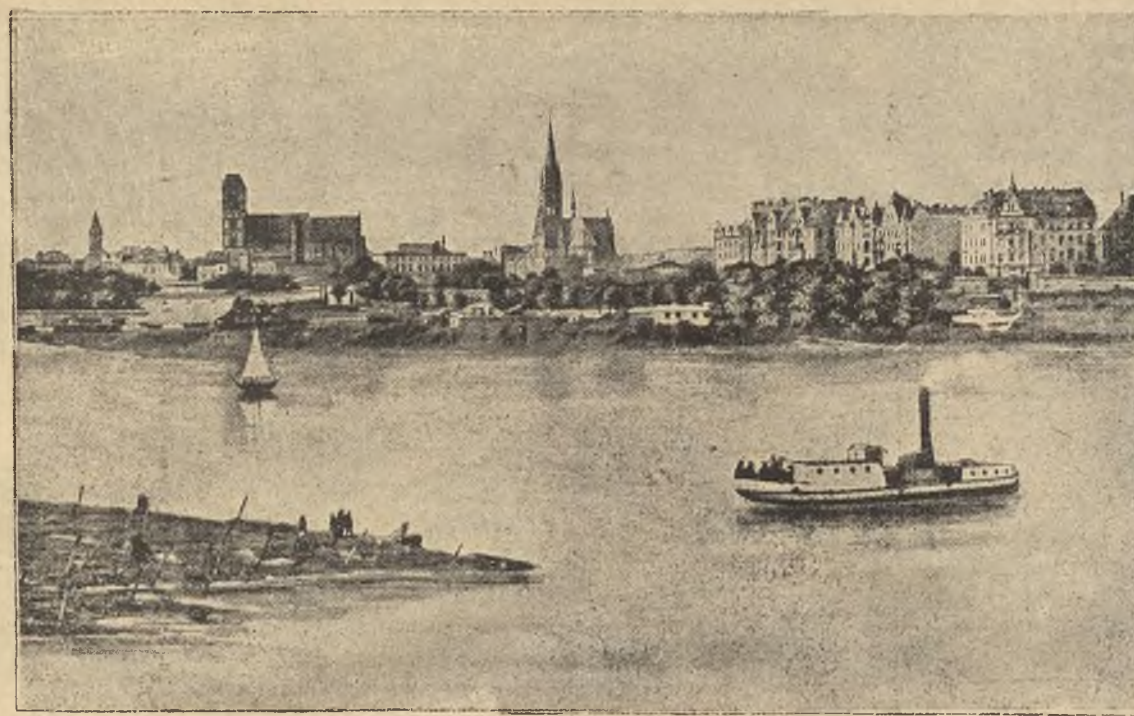
W piątek dnia 9 b. m. zjawił się u metropolity Jerzego, zamieszkałego w gmachu przy ul. Zygmuntowskiej Nr. 13. archimandryta Smaragd i konferował z nim około godziny. Przy pożegnaniu archimandryta Smaragd błyskawicznym ruchem wyciągnął rewolwer i strzelił dwukrotnie do metropolity. Obie kule trafiły w głowę i metropolita Jerzy, raniony śmiertelnie, padł na podłogę i po kilku minutach zakończył życie.



Ku czci Kopernika: Mikołaj Kopernik według sztychu ze zbiorów Withe-Jeżewskiego Rys. F. S. Kowarski.

Na odgłos strzałów zbiegła się służba, duchowni prawosławni, a po chwili zjawiła się policya. Mordercę, który nie stawiał żadnego oporu rozrozbrojono a następnie dostawiono pod silną strażą do komisaryatu policyi.

Badany archimandryta Smaragd tłómaczył swój czyn zbrodniczy tem, że metropolita Jerzy ulegał zbytnio rządowi polskiemu i że spowodował usunięcie 3-ch biskupów prawosławnych z różnych dyecezyi. Zbrodnia ta świadczy też wymownie, do jakich celów zmierzają i jakich środków chwytają się ciemne siły, które nie chcą pokojowego współżycia różnych wyznań w obrębie Rzeczypospolitej, gwarantującej wszystkim obywatelom wolność sumienia i kultu.



Ku czci Kopernika: Widok Torunia, rodzinnego miasta Kopernika.

Zamordowany metropolita Jerzy, człowiek sędziwego wieku, piastujący już oddawna wysokie godności w Cerkwi prawosławnej, wiedział, że jedynie w lojalnym stosunku do państwa można znaleźć zapewnienie spokoju i szczęścia dla tych rzesz prawosławnych, które uniknęły piekła bolszewickiego pod opiekuńczemi skrzydłami Białego Orła. Ani na jotę nie odstępując od kanonów Cerkwi, godził on umiejętnie interesy jej z interesami państwa. Było to solą w oku różnym dawnym działaczom, nie tyle religijnym, co politycznym, w stylu czarnej sotni przedrewolucyjnej. Nie pozostała ona na ziemi ojczystej, by po bohatersku bronić wiary przed prześladowaniem władz sowieckich, ale tchórzliwie uciekła do Europy zachodniej, bądź to osiedliła się w Polsce, wykorzystując liberalizm naszej konstytucyi i tolerancyjność naszych władz. Zbyt długo rząd pobłażał działalności nielojalnej kilku biskupów i ich otoczenia. Wreszcie zdecydował się ich usunąć. Ale nie obezwładnił najniebezpieczniejszego agitatora, archimandrytę Smaragda, wychowanka politycznego i pomocnika Eulogiusza. Ten, widząc, że ludność prawosławna i ogół duchowieństwa nie poddaje się występnej propagandzie, posunął się aż do zbrodni.



Ku czci Kopernika: Kopernik (rzeźba Godebskiego) na dziedzińcu Biblioteki Jagiellońskiej w Krakowie.



Ku czci Kopernika: Dom w Toruniu, w którym mieszkał Mikołaj Kopernik. Fot. „Sztuka".



Ku czci Kopernika: Pomnik Kopernika w Warszawie wzniesiony w r. 1830. dłóta Thorwaldsena.



Ku czci Kopernika: Uczeni w dyspucie naukowej z Kopernikiem. (Reprod. obrazu Gersona).

Ku czci Kopernika.

W nadchodzącą niedzielę i poniedziałek Polska czcić będzie wielką rocznicę. Dnia 19. b. m. przypada 450 lat od dnia urodzin Mikołaja Kopernika, największego geniusza, jakiego Polska dotychchzas wydała, a przed którym chyli czoło cały świat ucywilizowany. Mikołaj Kopernik to chluba ludzkości, tembardziej chluba narodu polskiego.

Genialny astronom był synem Mikołaja Kopernika, który około r. 1460 przeniósł się z Krakowa do Torunia i w tem mieście przyszedł na świat. Po wczesnej śmierci ojca, znalazł opiekuna w wuju, biskupie warmińskim, pierwotne nauki odebrał w Toruniu, a w r. 1491. zapisał się wraz z bratem na wydział filozoficzny Akademii Krakowskiej. Kraków opuścił Kopernik w r. 1494. i za radą swego wuja poświęcił się stanowi duchownemu. W r. 1495., otrzymawszy zasiłek od kapituły warmińskiej, udał się z bratem do Włoch i w Padwie, gdzie zapisał się w album polskie, oraz w Bolonii kształcił się dalej w matematyce. Tam też uzyskał stopień doktora. Nauka jego już wtedy głośną być musiała, gdyż w r. 1499. objął katedrę astronomii w Rzymie. Niebawem opuścił Włochy, ale wkrótce tam powrócił dla studyowania medycyny i w Padwie otrzymał stopień doktora tego przedmiotu. Wróciwszy do kraju lata 1504—7., jak się zdaje, przepędził w Krakowie, gdzie dokonał wielu obserwacyi i gdzie prawdopodobnie napisał swe nieśmiertelne dzieło o obrocie ziemi. W początkach 1507. r. na żądanie wuja przeniósł się do Warmii i odtąd już stale zamieszkał we Fraenburgu.

Dopiero pod koniec życia Kopernik zdecydował się ogłosić swe wielkopomne dzieło i napisawszy przedmowę oraz dedykacyę papieżowi Pawłowi III. oddał je do druku. Odbite w Norymberdze p. t. „Nicolai Copernici Toruniensis de Revolutionibus Orbium Coelestium libri VI." (1543). zastało ono Kopernika już na łożu śmierci.



Ku czci Kopernika: Pomnik Mikołaja Kopernika w Toruniu. Fot. „Sztuka".



Ku czci Kopernika: T. Rygiera „Kopernik".

Zasadą systemu Kopernika jest przyjęcie obrotu wirowego ziemi około osi oraz postępowego około słońca. Prace Kopernika obaliły w ten sposób system Ptolomeusza, który środek świata umieszczał w ziemi, a stworzyły nowy system, według którego środek układu planetarnego mieści się w słońcu. System ten stał się podstawą wszelkich dalszych prac na polu astronomii, a wszystkie dalsze badania potwierdziły jego prawdziwość. Odtąd imię Kopernika jaśnieje w panteonie ludzkości, jako jednego z największych geniuszów świata, a Polskę okryło nieśmiertelną chwałą. Ale i tu ujawniła się zaborczość Niemców, którzy usiłowali zaanektować Kopernika dla swej narodowości. Były to jednak orzeczenia najzupełniej nieuzasadnione. Dowody, że Kopernik był Polakiem, są niezbite. Pochodzenie Kopernika, zapisanie się jego w albumie polskim w Padwie, współczesny list Melanchtona,



Ku czci Kopernika: Kopernik, rzeźba Brodzkiego (Muzeum Narodowe w Rapperswylu).



Impreza litewsko-niemiecka w Kłajpedzie: Grupa „partyzantów" litewskich z karabinami maszynowymi w dniu zajęcia Kłajpedy.

który go nazywa „astronomem sarmackim" i wiele innych faktów usuwa wszelką w tym względzie wątpliwość. Zadokumentowaniem polskości Kopernika i odparciem śmiesznych pretensyi niemieckich będą nadchodzące uroczystości, jakiemi w d. 18. i 19. b. m. cała Polska uczci 450-tą rocznicę tego wielkiego Polaka. Niestety, nie dało się stworzyć ogólno-polskiego komitetu, któryby podjął zorganizowanie uroczystości w jak najszerszych rozmiarach, natomiast dopiero niedawno powstały trzy komitety odchodowe: krakowski, toruński i warszawski.



Impreza litewsko-niemiecka w Kłajpedzie: Kawalerya „powstańców litewskich" na ulicach Kłajpedy.

W ten sposób będą w Polsce trzy obchody: w Krakowie dla świata uczonych, jako w siedzibie wszechnicy, na której kształcił się Kopernik; w Toruniu jako miejscu urodzenia, dającego pretekst Niemcom do fałszowania pochodzenia wielkiego astronoma, oraz w Warszawie, gdzie obchód da najszerszym kołom sposobność do złożenia hołdu jednemu z największych geniuszów świata.

Jubileusz uczonego.

W szczupłem gronie mężów nauki odbyła się w tych dniach w Krakowie uroczystość jubileuszowa jednego z najznakomitszych polskich przyrodników, Józefa Rostafińskiego, obecnie honorowego profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Jubilat urodzony w Warszawie w 1850 r., syn Michała, dyrektora Banku polskiego i właściciela dóbr Kłódno i Teresin w Błońskiem, ukończył Szkołę Główną, kształcił się potem w Berlinie, zyskał stopień doktorski w Jenie, w latach 1873—1876 był docentem uniwersytetu w Strasburgu, w roku 1876 mianowany profesorem uniwersytetu w Krakowie, od r. 1877 zaliczony do grona człon-



Jubileus uczonego: Prof. Józef Rostafiński.

Impreza litewsko-niemiecka w Kłajpedzie.

Nie ulega już żadnej wątpliwości, że zamach na Kłajpedę dokonał rząd litewski w porozumieniu z Niemcami. Stwierdzono, że wśród rzekomych „partyzantów" litewskich, którzy samorzutnie mieli dokonać napadu, znajdowali się oficerowie i żołnierze zarówno regularnej armii litewskiej, jak i niemieckiej. Odegrano jednak komedyę doskonale. Oddziały, które wyruszyły na podbój Kłajpedy mają rzeczywiście wygląd band, jak to świadczą załączone w niniejszym numerze illustracye.



Impreza litewsko-niemiecka w Kłajpedzie: Torpedowce francuskie *Algérien* i *Sénégalais* u wejścia do portu kłajpedzkiego.

SEWER.

HANKA.

NOWELA.

2)

Powoli cała masa wtłoczyła się do kościoła. Sakrament ustawiono na ołtarzu, lud zaśpiewał:

Święty Boże, Święty mocny, Święty a nieśmiertelny,
Zmiłuj się nad nami...

i nabożeństwo skończone.

Zaroiło się na placu poza cmentarzem i rozweseliło. Hanka w gronie rówieśniczek stanęła na schodach u wyjścia...

Jednocześnie zajechał powóz i stanął. Najstarsza z pań przywołała Hankę giestem i uśmiechem, panicz siedział na przodzie.

Na dziewczynę buchnęły ognie, nogi się pod nią uginały, kroku zrobić nie mogła.

— Pani cię wola — szepnęły do Hanki dziewczęta.

Maryna ujęła ją za rękę i podprowadziła.

— Jak ci na imię? — spytała pani.

— Hanka — odpowiedziała cichutko.

Panicz wlepiał w nią swe czarne ślepia i uśmiechał się tak jakoś ciepło, że uśmiech jego wrażał się w głębię jej serca — bladła.

— Hanko, a wiesz ty, że jesteś śliczna — zawołała panienka.

Hanka opuściła oczy milcząc.

— Szkoda, że nie jestem malarzem — szepnął panicz.

— Wymalowałbyć ją wśród kłosów pszenicy i czerwonych maków, stojącą z sierpem w ręku, w koszulinie i w niebieskim gorsecie. Żar słońca pali, mocne cienie, natura omdlewa.

Hanka spojrzała na panicza i znowu zapłoniona, oczy przysłoniła powiekami. Ślepia swe wrażał w nią i tak się jakoś czulił, że aż jej serce drżało.

— Ależ to prawdziwy typ wiejskiej piękności. Szkoda, że ja nie umiem tyle, aby się porwać na takie dzieło...

— Haniu, jeszcze raz spojrzyj — szeptał panicz.

Lecz Hanka, drżąc z rozkosznego strachu, nie spojrzała.

— Muszę napisać do Władzia, aby przyjechał z płótnem i farbami — to jego rodzaj! On jeden da radę temu zjawisku, on jeden — szczebiotała panienka.

— Moja Haniu, może nas odwiedzisz we dworze — dodała zwracając się do dziewczęcia. — Przyjdź, bardzo cię proszę.

— Kiej niewiem wkiedy — odparła Hanka cichutko.

— Kiedy chcesz, choćby dziś przed wieczorem.

— Dziś wieczorem — pochwycił panicz.

— Do widzenia — powiedziała starsza pani i skinęła na woźnicę.

Konie ruszyły i niecierpliwie pomknęły jak wiatr, Hankę otoczyły dziewczęta. Stała zapatrzona, oszołomiona.

— Zaprosiły cię panie do dworu? Pójdziesz?.. I cóż tam będziesz robić?...

— A gadajże Hanka — zawołała Maryna.

— Dajcie mi pokój — odpowiedziało dziewczę i zamyślone, rozkosznie smutne, wysunęło się naprzód.

— Hanka we dworze napije się kawy z cukrem, naje białych ciast i popsuje sobie smak, że potem nie spojrzy na czarny chleb, a od maślanki głowę odwróci — mówiły do siebie gospodynie.

Hanka szła żywo otoczona rówieśnicami.

Z za węgła dzwonnicy przez sztachety cmentarza patrzał na nią Jędrek ciekawie i smutno. Widział jak stała przed powozem i rozmawiała z państwem.

— Pewno musiała w kościele tak okrutnie zawracać ślepiami na panicza, że aż ją zaczepił... — Ściągnął pięść i wstydząc się schował ją w kieszeń żupanika.

— A niechtam — rzekł z rezygnacyą — niech robi, co chce, noga moja nie przestąpi progu jej chałupy, a ślepia moje nie popatrzą na nią — nigdy!

Wyraz „nigdy" rozluźnił w nim gniew i zawziętość, zaciśnięta pięść zwolniała, dłoń się wyprostowała, pochylił się, głowę opuścił, nogi wolno ciągnąc za sobą — posmutniał.

— Nigdy — powtórzył — nigdy! I cóż mi po niej, kiej nie moja, kiej ją nic do mnie nie ciągnie, obca, ja nie dla niej, ona nie dla mnie... I za cóż to mam ją śledzić, naśladować i nadwyrężać, za co?... Kiej ona nie chce i odwraca się odemnie. Niech leci do panicza, jak ćma do świecy, nie będę jej odganiał, bo i po co? I co mi z tego? Nie moja, nic w niej, coby ku mnie ją ciągnęło, Nic, nic — powtarzał smutno — a przecie jaby jej utoczył serdecznej krwi, gdyby ino zechciała!...

— Gdyby ino zechciała! Ale ona chce ino panicza. Panicza jej się zachciewa i pośmiewiska ludzkiego.

Zagotowało się w nim, wyprostował się, nozdrza rozszerzył, przez nie wciągnął wolno powietrze i oglądał się drżąc z gniewu.

— Nie ma ratunku — szeptał — bo gdyby był, tobym go znalazł. Zdrowaś Marya — szeptał dzwoniąc zębami z wrastającą wściekłością — dziej się wola... udusić go... Twoja Panie! I cóż mi przyjdzie? dziopa się za nim rozlamentuje... łaskiś pełna... a mnie zpomstuje na wieki... Pan z Tobą... zakują... Błogosławionaś Ty... i wezmą... między niewiastami... dziopa oszaleje z boleści za tamtym...

Przystanął, zdjął kapelusz, pot rękawem koszuli obcierał i oddychał wolno, a długo. Siła w nim wrzała, krew się burzyła, a nie widział dla nich żadnego upustu, żadnego ujścia — i to go męczyło. Przed nikim poskarżyć się nie mógł, wstyd go palił, a zazdrość i żal w głębi serca żarły.

— Ani się nie utopię, ani się nie zabiję... A choćby — dokończył cicho — to na to wszystko mam czas.

Ostatnia myśl uspokoiła go, poszedł wolno do domu sam jeden, nikogo na gościńcu nie było. Słońce, długi, żółty gościniec, ginący w zieleni i jasne, wielkie, puste błonia przecięte rzeczką o srebrem świecącej się wodzie.

— Sam na Bożym świecie sierota i ona jedyna moja, — a nie moja i moją nie będzie. A bez co, Najświętsza Panienko, bez co — i la czego jej nie uratujesz?...

Rozczulił się, łzy otarł rękawem, i zawstydzony niemi, pognał prosto do chałupy.

Słońce się zniżyło, od zachodu jęknął wiatr i wary rozganiał, białe chmurki wyskakiwały z błękitnego prześwitu i skupiały, jak gdyby się witały z dalekiej podróży.

Hanka w świątecznym gorsecie i białej cienkiej koszuli o haftowanej kryzie u szyi, w chusteczce na głowie, wysunęła się z izby, obejrzała się do koła, zagłębiając wzrok w niebieskie sklepienie zawieszone nad ziemią. Miała wzrok sokoli — oczy wypatrywała — nikogo. Białe chaty, zieleń pod nogami, żółty gościniec, drzewa, w górze słońce, białe chmurki na niebie — i ona jedna.

— Sama, jednuśka na Bożym świecie — szeptała. — Nikogo wele mnie. Jędrek się odczepił... I dobrze się stało... Dobrze się stało — powtórzyła głośno, aby zdusić gniew i żal rodzący się w jej sercu. — Dobrze i nie żałuję tego! Gdzie on teraz może być?... Może z chłopakami w karczmie? A może u Maryny siedzi?

Zakłuło ją pod żebrem, że aż się zatoczyła, lecz wstydząc się samej siebie na złość się roześmiała.

— A niech siedzi, a mnie da święty spokój!... Terazem ci swobodno jak ten ptak, mogę lecieć gdzie mi się podoba i polecę, choćby na kraj świata...

— Nie na kraj a do dworu, do mego królewicza, napaść ślepia jego widokiem, nacieszyć głosem, wesołością, dobrocią i wszystkiem, co w nim jest.

Poszła żywo w stronę dworu.

— Królewicz mój i tyle mego szczęścia, co się na niego popatrzę i nasłucham jego głosu. Panienka powiedziała, że jestem w sam raz udatna do malowania, jak tylko ten malarz, pono Głodzio się zwie, z Krakowa przyjedzie. Wtedy będę siadywać we dworze i ślepia paść i uszy paść i serce paść i kto mi zabroni?... Jędrek? — a jemu do mnie zasie. Ma mądrą Marynę, niech słucha jej mądrości, i wpatruje się w nią od wschodu do zachodu słońca.

Murowany dwór o czerwonym dachu, z obszerną werandą, stał w głębi parku. Na straży jego, z jednej strony ciemne, zasłuchane w wieczność świerki, z drugiej białe, wesołe o długich warkoczach brzozy, pozwalające wietrzykowi bawić się niemi i szumieć. Przed dworem okrągłe gazony pełne róż, a wśród nich portulaki wiły się po ziemi wabiąc jasnemi barwami...

Dziewczyna stanęła w gromadzie bzów, patrzyła na ich smętną wesołość i słuchała muzyki wiatru grającego na ich warkoczach. Dwór stał jak zaklęty, drzwi pozamykane, dokoła żywej duszy — jakaś mroźna pustka wiała, a długie cienie czarnych świerków, kładły się na żółte jego ściany i czerwoność dachu.

— Rety, jak tu smutno, szeptała, jak tu strasznie, widzi się, że pałac zaczarowany. Jakże tam pójść, gdzie zapukać, do kogo. A jeśli sam panicz otworzy i wciągnie mnie do swej izby?... Zadygotała ze strachu, płomienie buchnęły jej na twarz, a krew do głowy, że aż się jej w mózgu zakotłowało.

Jak tu ludzie wyżyć mogą? Jak wyżyje mój królewicz?!... A może on zaczarowany, to mu dobrze, ale mnie?... Wstrząsnęło ją, wodziła wzrokiem po parku, gubiąc się w jego ogromie.

— Tu jak w lesie, tylko że w lesie milej, choć tutaj i róże kwitną i wszelakie kwiatuszki tułają się po ziemi. Tu smutno, że się duszy płakać chce, a zdaje się, jakby tu śmierć wygnała wszelaką wesołość...

Cofała się w głąb brzóz wystraszona.

Otworzyły się drzwi pałacu, na werandę wyszedł panicz, zbliżył się do balustrady, przyłożył dłoń do czoła i patrzał.

Hanka cofała się, ustępując za białe brzozy.

— Za nic nie pójdę tam, za nic — szeptała — ze wstydu, wolę się zapaść pod ziemię.

Panicz stał w jednem miejscu i patrzał z przyłożoną dłonią do czoła. Dziewczę przytulone do brzozy czekało. Panicz zbiegł ze schodów werandy. Hanka wystraszona pocichu wymknęła się z zagajnika brzóz i całym pędem uciekała. Strach i wstyd gnały ją. Dopadła do olszyny na rozłogach. Stanęła zdyszana i odwróciła się.

Dwór zakryły drzewa, panicza nie było widać. Zdawało się dziewczynie, że wśród świerków zamajaczał granatowy kontusik i białe rękawy, lecz się jej tak zdawało, bo raz tylko mignęło i znikło.

— Głowę mam nabitą Jędrkiem i ślepia mnie oszukują — szeptała. — Cóż teraz pocznę?... Do dworu za nic nie wrócę, na nieszpory zapóźno. Dlaczegóżeś uciekała!. Trza było iść — nie zjadłby cię! A jakby cię chciał pocałować?... Nie dałabym się. Albo to nie ma tyle mocy we mnie, żeby się nie dać?!... Musi ci też całować ogniście i mięciuśko i słodko jak miód, że od tego całowania duszę zatracić można i paść. Na samą myśl strach łapie mnie za gardło, że oddechu złapać ni mogę... Ze wstydu i już la tegom uciekała. A pocoś tam lazła?... I terazbym poszła, gdyby nie panicz, a panienka wyszła. Wychyliłabym się z za drzew, ujrzałaby mnie i przywołała do siebie. Przy panience mogłabym i ja ślepia swoje w niego wrażać i nicby mi nie zrobił. Ale jak rękę do oczu przyłożył i patrzał niby sęp na gołębia — nie było rady, uciekłam.

Szła powoli do chałupy — słońce pochyliło się, kładąc róż na białe chmurki, zachodni wietrzyk szeleściał w olszynie, żółty gościniec, zielone błonia i białe ściany chat o szarych dachach, przyparte do starych grusz i lip wesołych, patrzały na nią. Śmiechy na błoniu zgromadzonych dzieci, rwały ciszę i smutek rozlany w naturze. Hanka chciała biedz do dzieci i zbierzić z niemi, bawić się, żeby sobie panicza odsunąć z przed oczu i Jędrka, co jej zaglądał do myśli i pamięci. Chciała lecieć, a nie śmiała, przecie ona już nie dziopa, a śliczności do malowania dziewczyna. Rada była śmiać się i dokazywać, lecz ją jakiś smutek brał, że nie mogła... Zamyślona pochyliła głowę, ręce założyła za siebie, ciężko jej było na sercu, smutno w duszy, pusto dokoła. Stanęła przed drzwiami izby — zaparte! Matusi nie miała, ojciec pojechał na termin do Krakowa, dziewka pognała bydło, ona jedna sierota na bożym świecie.

Niedawniuśko przychodził Jędrek, grał na harmonii, przytupywał, śmiał się, żeby szczerzył i świadczył i świadczył — okrutnie świadczył. Przybiegały rówieśnice, dokazywały, ciągnęły chłopaka, a on tylko w nią wlepiał ślepia. A ona?... Na nią rzucono uroki, zobaczyła panicza i utonęła w nim. Utonęło jej serce i oczy, i myśli i pamięć i wszystko. Panicz stoi wciąż przed nią i uśmiecha się jak „kusy" zmieniony w królewicza! Oczy wypatruje za paniczem, myśli lecą za nim, serce drży do niego!... Jędrek odszedł i mówią, że nie wróci — nigdy.

(Dokończenie nastąpi)

E. FEYDEAU.

MOJA SPOWIEDŹ

3) **Powieść z francuskiego**

— Zemszczę się.

— Zemścisz się?... pan? za co?

— Już ja wiem.

Sądziłem, że hrabina przytomność straci; tyle było w tej chwili przerażenia w jej głosie i wzroku. Książę zdawał się tryumfować. Chciał przybliżyć się do niej. Ale zapanowała nad sobą i skupiając całe swe oburzenie we wzroku, zawołała:

— Pan jesteś nędznik. Wolę umrzeć niż widzieć pana raz jeszcze. Oddal się pan, albo każę go wyrzucić!

To mówiąc postąpiła ku niemu.

Książę umknął.

XV.

Przygnębiony byłem wstydem za nią. Taka kobieta!... tak wysoko położona!... tak piękna. najpożądańsza ze wszystkich kobiet! istota niebiańska! do której ja nie śmiałbym mówić inaczej jak na klęczkach!

Jakiemuż potworowi oddała się!...

Często zapytywałem sam siebie, za pomocą jakiego uroku, jakich wzniosłych zalet byłoby można dotknąć jej serce. Widząc ją tak doskonałą w swej zewnętrznej postaci, tak dumną, tak poszukiwaną przez cały Paryż, otoczoną przepychem i obdarzoną tym szczególnym pociągiem, który wynika z samej obojętności, mówiłem sobie, że człowiek, którego wyróżni, powinien stać pod wszelkimi względami na równi z nią. Powinienby być jakimś pierwowzorem wdzięku, męztwa, rozumu, dystynkcyi, piękności! Jednym z tych ludzi, którzy stanowią epokę w historyi towarzyskiej, powinienby nazywać się Leicester, Buckingham, don Juan, Richelieu, lord Byron, powinien być jakby naumyślnie stworzony dla owiania miłością serca królowej.

A tymczasem... była to istota podobniejsza do małpy niż do człowieka!

Ale pod wrażeniem tej brutalnej sceny, przy której byłem obecny, nie myślałem już o tem. Chwilę uznałem za stanowczą i wybiegłem na ulicę pod wrażeniem tak wygórowanego poświęcenia, iż gotówbym był rzucić się w płomienie. Spotkałem się z księciem przy wejściu do hotelu, ale był tak wzruszony od gniewu, że nawet nie spojrzał na mnie. Usta mu drgały, oczy zaszły krwią; raczej biegł niż szedł. Nigdy dotąd nie widziałem twarzy bardziej szatańskiej.

Zdaleka ujrzałem hrabinę poza drzwiami. Pochyliła się na ławkę. Nie śmiałem podchodzić tylkom patrzał.

Była mocno zarumieniona, ale zawsze prześliczna i jakaś rzewna.

W ogrodzie nikogo nie było. Mnie nie widziała.

Wtem zerwała się nagle, wyprostowała całą swoją postać, niezrównanie harmonijną i z boleścią załamawszy ręce zawołała:

— O któż mnie wybawi od tego nędznika!

Usłyszawszy to wyszedłem naprzód i ze szczerym zapałem, zapałem serdecznym, od którego aż głos mi drżał a łzy cisnęły się do oczu, rzekłem:

— Ja pani!

XVI.

Hrabina krzyknęła i odwróciła się.

Poznała mię od razu; ale zdziwiona, że widzi mię w tym miejscu, słyszy odpowiadającego na jej wołanie, niepewna ile podchwyciłem z jej tajemnicy — doznała wzruszenia, które niepodobna opisać.

Rychło jednak przyszła do siebie i widziałem jak utkwiła we mnie swój wzrok, który mię już tyle cierpień nabawił. Tego było za wiele. Przemówiłem:

— Przypadek uczynił mię świadkiem rozmowy, jaką pani miała z księciem Titiane.

Tu chciała mi przerwać, ale mówiłem dalej:

— O! nie obawiaj się pani niczego! Tajemnica, o której dowiedziałem się, umrze razem ze mną. Nie przyszedłem tu, by jej nadużywać, ale by wyświadczyć pani przysługę.

— Doprawdy, panie — odrzekła — nie pojmuję...

Były to pierwsze jej wyrazy, do mnie wymówione. I chociaż wymówione były gniewnie, gdyż umierała ze wstydu, zachwyciły mię one. Zrozumiałem, że chce oddalić się, że słowa moje, że sama obecność moja w podobnej chwili, wielką jej przykrość sprawia. Zatrzymałem ją jednak i nadając postawie mej i głosowi memu wyraz wszelkiego możebnego uszanowania, rzekłem:

— Błagam panią, przez wzgląd na nią samą, wysłuchaj mię!... Nie masz pani przy sobie nikogo, ktoby mógł ująć się za nią; ani męża, ani brata. Obowiązkiem każdego uczciwego człowieka jest uczynić to w ich miejscu. Jeżeli sądziłem, iż mogę pokazać się, to do tego uprawniły mnie własne słowa pani. Czyż nie żądałaś pani mściciela? A przytem, chociaż nie miałem honoru być przedstawionym pani, sądzę jednak, iż nie zupełnie obcy jej jestem.

Nie mogła powstrzymać lekkiego uśmiechu. Po raz pierwszy dostrzegłem coś ludzkiego w jej pięknych oczach. Skorzystałem z tego.

— Dodam do tego — rzekłem — iż nie ma pani do czynienia z człowiekiem w rodzaju księcia Titiane, który chce panią zgubić, ale z człowiekiem, który gotów zaryzykować swe życie, jeżeli potrzeba, by pani wróciła do posiadania swych listów.

Przekonała się, żem wszystko słyszał i odwróciła się zarumieniona by ukryć łzy. Okrutne położenie dla młodej kobiety! Jakże wtedy musiała żałować niegodnego swego związku!

Z obawy być postrzeżoną z okien hotelu, postąpiła o kilka kroków do żywopłotu, nie odpowiedziawszy mi.

Sądziłem, żem nabył prawa do pójścia za nią. Płakała ciągle.

W końcu znowu zwróciła oczy w moją stronę. Teraz egzamin ten był dla mnie pomyślny. Zapewne musiała sobie powiedzieć, iż ten kto tak do niej przemawia, musi być prawdziwym mężczyzną. Podniosła rękę i obtarła sobie oczy. Widziałem, jak piękne jej łono łagodnie podnosiło się. Czułem nieprzezwyciężoną chęć rzucenia się jej do nóg. Być może, iż domyślała się tego, gdyż nagle stała się spokojniejsza i mniej poddającą się wrażeniu.

— Gdybym mogła przyjąć propozycyę pańską, powiedziała, przedewszystkiem, musiałabym zapytać pana co go skłania do robienia mi jej?

— Ależ na miłość boską! — zawołałem — więc pani teraz nie tyle już chodzi o odzyskanie swych listów?

Zamyśliła się.

Jestem przekonany, iż szukała sposobu posłużenia się mną, chcąc zarazem wprawić mię w błąd co do charakteru swych stosunków z księciem. Zamiaru tego nie mogłem brać jej za złe; w podobnych okolicznościach, przyszłoby to na myśl każdej kobiecie.

Jednak, położenie jej stawało się co chwila trudniejszem; przecież nie moją było rzeczą mówić teraz.

— Ależ... gdybym przystała na to... jakżebyś pan postąpił sobie?

— Najotwarciej wyznaję pani, iż sam tego nie wiem. Ale osoby znające mnie, nigy nie zarzucały mi braku odwagi, ani inteligencyi; a wierz mi pani, iż bardzo jest silnym i zręcznym ten...

Chciałem już powiedzieć: Ten, kto ujmuje się za kobietą którą kocha — ale nie śmiałem i poprawiając się rzekłem:

Ten, kto ma w ręku swym sprawę na święszą: reputacyę kobiety.

Być może, iż nigdy nie okazano jej poświęcenia tak szczerego i tak namiętnego, mówiłem z rozrzewnieniem i błagająco.

Zdawała się zdumioną.

— Żałuję, że nie poznałam pana wcześniej — rzekła.

Potem, łącząc obawę z wyniosłością, próbowała usprawiedliwić się.

— Co pan możesz pomyśleć sobie o mnie! — zawołała, i zakryła sobie twarz rękami.

— Ja? odpowiedziałem spuszczając oczy — ja myślę, że jak większa część kobiet, ulegających raczej sercu a nie rozsądkowi, byłaś pani tak nieszczęśliwa, iż źle umieściłaś swe uczucia.

Ale usłyszawszy te wyrazy, na które pewno czekała, hrabina spojrzała na mnie rozkazująco i z gwałtownością, do jakiej nigdybym nie przypuszczał, że jest zdolną i zawołała:

Cóż to pan sobie myślisz?

Zrozumiałem czego chciała i dla zaskarbienia sobie względów, ułatwiłem jej to kłamstwo, które mnie bynajmniej nie oszukało.

— Myślę, odrzekłem, iż między panią a księciem, istniała wymiana listów, które, gdyby zostały źle wytłómaczone przez nieprzychylnych czytelników, mogłyby pozwolić na przypuszczenie, iż zrobiła pani księciu więcej zaszczytu, aniżeli na to zasługuje.

— Masz pan słuszność — odrzekła. — I znowu spojrzała na mnie, jakby chcąc przekonać się czy mówiłem szczerze.

Uwierzyła.

— Między nim a mną — powiedziała — nie było nic, oprócz próżności z jego strony, a z mojej, jednej chwili lekkomyślności, któraby mogła zaprowadzić mię daleko, gdybym się na ostrożności nie miała. Pozory są przeciw mnie, ale nie chcę by się nimi posługiwano.

— To pewna, że nikt nie zdoła posłużyć się nimi, jeżeli mi pani pozwoli działać, odrzekłem. Znam księcia Titiane z reputacyi, i sądzę, że jest zdolny do wykonania zemsty, którą pani zagroził. Kiedykolwiek wieczorem, może dziś jeszcze, rozgrzany winem, udzieli swym przyjaciołom fragmentów z listów pani. To nie powinno się stać.

— Cóż począć? — zapytała.

— Dać mi niezbędne wyjaśnienia, dla zapobieżenia temu.

— Powinien mieć dziesięć moich listów — zaczęła znowu, rumieniąc się. — Zamknięte są one w czarnem, skórzanem pudełku, wraz z moim portretem, fotografowanym przez Adama Salomona, a jak mi książę mówił, to wszystko złożone jest pod podwójnem dnem jego toaletowego neseseru.

Tyle szczegółów, tak dokładnych, nie powinnoby pozostawić we mnie ani cienia wątpliwości co do natury ich związku. Ale serce moje było tak usidlone, iż tylko ubolewałem nad hrabiną.

— Czy wiesz pani, gdzie książę mieszka? — zapytałem.

— W hotelu Imperial.

— Dziękuję. Teraz pozwól mi pani odejść.

Ale hrabina pochwyciła mnie za rękę i patrząc w oczy z niepokojem zapytała:

— Chcesz go pan wyzwać?

— Gdyby wyzwanie doprowadziło mnie do celu, to posłałbym mu je bezwłocznie. Ale jeżeli książę mnie zabije, to pani nie odzyskasz swych listów, gdy ja go zabiję, pani także mieć ich nie będzie. W takim razie listy te dostaną się do rąk spadkobierców księcia. Ja zostanę aresztowanym, lub będę musiał uciekać i nic nie zdołam uczynić dla pani. Nie! W okolicznościach tak delikatnych potrzeba nie tyle siły ile zręczności, potrzeba więcej rozsądku, aniżeli gwałtowności. Wszystkie środki są dobre przeciw człowiekowi, który chciał popełnić taką nikczemność. Znajdę jeden z nich, jestem tego pewny.

Hrabina jeszcze mnie zatrzymała.

— Pan jesteś — rzekła — człowiek uczciwy i nie chcesz mnie zdradzić?

Zwątpienie to obraziło mnie; ale hrabina była w położeniu tak smutnem, iż przebaczyłem jej z całego serca.

— Cóżby mi z tego przyszło? — odrzekłem.

XVII.

Stanowczo zdecydowany byłem zrobić wszystko, aby tylko wydrzeć księciu Titianie listy hrabiny. Ale nie wiedziałem jak się wziąść do tego.

Naprzód postanowiłem przenieść się do hotelu Imperial i byłem tak szczęśliwy iż znalazłem tam apartament wolny na tem samem piętrze co i książę i tuż obok niego. Apartament księcia składał się z trzech pokoi: sypialni, salonu i gabinetu toaletowego.

Podczas gdy jeden służący hotelowy odnosił moją walizę, zręcznie wypytałem się go o mojego sąsiada. — Służący ten, zdawało się, iż miał jakąś złość do księcia, który pewno po brutalsku obszedł się z nim; to też wynurzył się przedemną z wielką ochotą. Od niego dowiedziałem się, że książę wychodził rano do łazienek, potem powracał, ubierał się i jadł śniadanie na dole, w osobnym pokoju. Po obiedzie przechadzał się w tę lub ową stronę, według swego upodobania. Wieczorem, co dzień prawie upijał się.

A zatem, zrana było najłatwiej dostać się do jego apartamentu.

Zaledwie ta uwaga przyszła mi na myśl, a już nabrałem pewności, że moje przedsięwzięcie powiedzie mi się. Pomiędzy moim a jego

apartamentem znajdowały się drzwi, od których klucz miał rządca hotelu. Ale w takim razie, jak tu sobie poradzić z drzwiami, by nie pozostało śladów włamania?

Wyszedłem, by się nad tem zastanowić. Przyznam się, iż nie czułem w sobie ani cienia skrupułu. Najgorsze środki wydawały mi się dobrymi — bylem tylko osiągnął cel. To com zamyślał zrobić dla hrabiny, nie mogło żadną miarą być poczytywane za zbrodnię. Ale — gdyby trzeba było zstąpić aż do zbrodni, to i w takim razie sądzę, iż nie cofnąłbym się przed nią.

XVIII.

Tegoż samego wieczorem odwiedziłem ją. Była tylko co po obiedzie, sama; dzieci bawiły się w ogrodzie. Przyjęła mnie jak starego znajomego. W ciągu dwu godzin, spędzonych na rozmowie z nią, nie zrobiłem najmniejszego napomknienia na namiętność, jaką we mnie rozbudziła. Być może, iż to ją zdziwiło, gdyż nie zadając sobie wielkiego trudu, mogła odgadnąć, co się we mnie dzieje, ale w obecnej chwili znajdowałem, że byłoby wcale niewłaściwem żądać jakoby zadatku za usługę jaką miałem jej wyświadczyć.

Ona — jednem tylko była zajęta, a mianowicie usprawiedliwieniem się. Opowiedziała mi ze swego życia wszystko, co uznawała, iż potrzeba bym wiedział, a zarazem nie stracił dla niej szacunku.

Wydano ją za mąż, bardzo młodo, za człowieka, którego nie kochała, za mizantropa, którego delikatne zdrowie wymagało bezustannej pieczołowitości. Nie chciał on by towarzyszyła mu w podróżach, jakie zmuszony był odbywać dla znalezienia klimatu łagodniejszego nad paryski.

Dziwne to było małżeństwo! Mąż przebywał w Egipcie, we Włoszech, na wyspie Maderze; a żona, młoda, piękna, bogata, mająca przeszło ośmkroćstotysiecy franków dochodu, jak dowiedziałem się później, najzupełniej pozostawiona była samej sobie.

Ukazywała się zatem wszędzie sama, gdy którakolwiek z przyjaciółek nie mogła jej towarzyszyć.

Co roku mąż przyjeżdżał i spędzał z nią parę miesięcy. Czuli ku sobie nawzajem największy szacunek — ot i wszystko!

Żyjąc takiem życiem bezcelowem, czyż można było dziwić się, że bezczynność źle jej rady podała. Przyznała, się iż miała niejaką słabość do księcia Titiane. Ale zawczasu spostrzegła niebezpieczeństwo. Książę był to człowiek kompromitujący, uczęszczający do kobiet, bez reputacyi. A przytem był nieznośnie nieprzyzwoity.

Wszystko to było wypowiedziane tonem tak naturalnym, iż niepodobna mi było nie wierzyć. Słuchałem hrabiny w milczeniu i ubolewałem nad nią.

Gdy mi już wszystko opowiedziała, zdobyłem się na zapytanie, co też mogło, choćby na chwilę, podobać się jej w tym obrzydliwym księciu?

— Doprawdy, że sama nie wiem - odrzekła — sama sobie nie mogę wytłómaczyć. Ale widywałam go codziennie...

— A przytem — dodała — nie zastanowiwszy się — był w modzie...

XIX.

Był w modzie! To właśnie była przyczyna rzeczywista, naturalna i jedyna, mogąca wytłómaczyć ich stosunki — jak przekonałem się z czasem, poznawszy charakter hrabiny. Książę był w modzie! To jest, robił głupstwa nie zupełnie podobne do głupstw jakie robią inni — maniery miał impertynenckie; kobietom patrzał w oczy ze spokojną pewnością człowieka bez żadnych zasad moralności — grał — nienamiętnie — a wygrywał bez zadowolenia; nudził się, mówił o tem i wierzono mu! — i unoszono się nad nim.

Miał nakoniec talent zawracania głów w epoce, w której nic już nie dziwi, bo wszystko znużyło — nawet błazeństwa, niespodzianki, dziwactwa.

A ponieważ przewyższał wszystkich podobnych sobie w tych skutecznych środkach przypodobania się, więc dlatego by być uwielbianym przez kobiety, nie potrzebował pięknych rysów, ponętnej postawy człowieka próżnego, niedyskretnego, bez uczciwości, przedsiębiorczego, bez żadnego zdania, o jakich mówi la Bruyére. Brzydki, mały, bez brody, niezgrabny, sprośny, śmieszny i nadęty próżnością, aż do głupoty — — był w modzie!

Tego dość było.

XX.

Skończywszy swoją spowiedź, hrabina zapytała mię, co zamyślam zrobić dla dostania listów.

Powiedziałem jej, iż nie podobna zwierzać mi się z mojemi myślami i projektami gdyż, być może, zganiłaby je, ale sądzę, iż powiedzie mi się. — Zdawało mi się, że nie podziela mojej ufności, gdyż długo nalegała na mnie, bym się jaśniej wytłómaczył.

Wtedy powiedziałem, że zamiary w rodzaju tego, jaki powziąłem, nie mogą się wydać roz sądnymi, dopóki ich nie uwieńczy pomyślny skutek.

Natenczas, czy to dla dodania mi odwagi, czy też nie zastanowiwszy się w chwili strachu, powiedziała między innymi ogólnikami, że zrobi wszystko, co tylko zrobić może, byle odzyskała swe listy.

Nie podnosiłem wówczas tego rodzaju zobowiązania się względem mnie, uczynionego bez inicyatywy z mojej strony; ale chciałem ją uspokoić, by przynajmniej dobrze spała w nocy.

— Nie uspokoję się — powiedziała — dopóki tych przeklętych listów nie będę miała w ręku. Okropnie się obawiam skandalu. Wiem, że dzięki memu położeniu, świat zastanowi się pierwej dwa razy, nim zamknie drzwi przede mną — może nawet nie ośmieli się zrobić tego dla mojego nazwiska; ale zawsze byłoby to narażeniem się za śmiałem. A gdy sobie przypomnę, iż przed dwoma laty, ja pierwsza przestałam przyjmować u siebie, nawet witać jedną z moich przyjaciółek z lat dziecinnych, która była tak nieszczęśliwą, iż poczęto robić o niej plotki — wtedy dopiero wyobrażam sobie ile musi być przerażającego w podobnem położeniu.

- Wolałabym umrzeć, aniżeli być narażoną na to!

XXI.

Pożegnałem ją, przyrzekłszy, iż jutro przyniosę listy. Dodałem, uśmiechając się, iż jeżeli nie zobaczy mnie wpołudnie, to będzie znaczyć że książę zabił mnie. Ale hrabina przyjęła to zbyt tragicznie.

— Nie trzeba umierać! Nie chcę tego! — zawołała. — Trzeba żyć! Żyć, by być szczęśliwym!... Aby być szczęśliwym, trzeba żeby się powiodło!...

Z gorączkowem uniesieniem uścisnęła mi rękę. Nie wiem jak się to stało, żem zdołał uwolnić się od tego uścisku.

Na drugi dzień, o godzinie wpół do dwunastej, książę jadł śniadanie w dolnych pokojach hotelu; posługiwał mu jego służący. W apartamencie księcia nie było nikogo.

Była to właśnie chwila, którą wybrałem dla urzeczywistnienia mego zamiaru. Zaopatrzywszy się w narzędzia, za pomocą których miałem wydobyć listy hrabiny, nie wątpiłem już o tem, iż wszystko dobrze mi pójdzie.

Pomysł był niesłychanie ryzykowny, ale na cóżbym się nie odważył w przywidywaniu obiecanej nagrody?

Odśrubowałem zamek w drzwiach oddzielających mój pokój od pokoju księcia. Potem wykręciłem ten, który znajdował się po drugiej stronie drzwi — poszło mi to nietrudno!

Następnie lekko popchnąłem drzwi i stanąłem na progu książęcej sypialni.

Jednym rzutem oka obejrzałem wszystkie sprzęty. Czułem się zupełnie zimnym, spokojnym; uśmiechałem się prawie.

Na komodzie spostrzegłem ogromną, elegancką szkatułkę z juchtowej skóry, z metalowymi narożnikami i złoconym herbem na wierzchu. Był to niezawodnie neseser, o którym mówiła mi hrabina. Dotknąłem go - był zamknięty i to na zamek sztuczny, którego nie mogłem otworzyć. Wtedy wsunąłem ostrze noża między wieko i szkatułkę nacisnąłem — i wieko odskoczyło.

Zdumiała mię świetność rozmaitych przedmiotów, które ujrzałem. Szkatułka ta nie zdawała się być własnością mężczyzny, nawet bogatego, ale chyba królowej. Przerzucając złote flakony z korkami szmaragdami wysadzanymi, przyszło mi na myśl, iż gdyby zastano mnie tu w tej chwili, nikt by nie uwierzył w bezinteresowność moich zamiarów.

Wtedy opanowało mię szczególniejsze wzruszenie. Ręce mi drżeć poczęły. Niezawodnie człowiek przywłaszczający sobie cudzą własność musi doświadczać coś podobnego. Jestto uczucie przerażenia, połączone z nieokreślonem uczuciem tryumfu, nie pozbawione jednak pewnego uroku.

Kolejno podnosiłem cztery przedziałki, napełnione flakonami i innemi narzędziami wysokiej ceny. W głębi na samym dole znalazłem rodzaj pudełka. Otworzyłem je; poznałem portret; pod nim leżały listy. Nie miałem czasu liczyć ich; szalałem z radości.

Wbiegłem do mego pokoju, nawet nie zamknąwszy szkatułki, zamki przytwierdziłem na swojem miejscu.

Skończywszy to, obtarłem sobie czoło i spojrzałem na zegar.

Wskazywał kwandrans na pierwszą. Rzuciłem się na schody.

XXII.

Przyszedłszy do hrabiny, znalazłem ją we łzach, oburącz wspartą na stole.

Ujrzawszy mię zerwała się. Na pięknej jej twarzy malowało się takie cierpienie, iż pospieszyłem powiedzieć:

— Już mam listy.

Usłyszawszy to, zamknęła drzwi, które pozostawiłem otwarte; potem zapytała krótko:

— Dlaczego pan spóźniłeś się?

To rzekłszy wyrwała mi pudełko z rąk. Nie słuchała nawet mojej odpowiedzi. Gdy przytłoczony wzruszeniem, padłem prawie na krzesło, hrabina, przed obejrzeniem pudełka, popatrzyła na mnie z wyrazem niedowierzania, którego nigdy nie zapomnę i rzekła:

— Spodziewam się, żeś pan nie czytał tych listów!

Byłem w stanie tylko spojrzeć na nią z goryczą i podnieść ręce ku niebu.

Wtedy przybliżyła się do kominka. W nocy padał deszcz, powietrze oziębiło się i rozniecono wielki ogień.

Widziałem jak usiadła na krześle przy kominku, plecami odwróciwszy się i nie zwracając na mnie żadnej uwagi, jak gdybym tam wcale nie był. Potem poczęła liczyć listy, szybko przebiegając je wzrokiem i kolejno rzucając w ogień po przeczytaniu.

Od czasu do czasu konwulsyjnie wzruszała ramionami, jak gdyby to co czytała, wzbudzało w niej wstręt lub litość.

I nie spojrzała ani razu w moją stronę, nie przemówiła ani jednego słowa! Zapomniała zupełnie o mnie, który jej taką wyświadczyłem usługę!

Gdy już wszystkie listy zostały spalone, spaliła portret, potem pudełko; patrząc jak to wszystko ogarnia płomień, wyraz spojrzenia miała gorzki i surowy.

Co do mnie — ja patrzałem na nią, nie bardzo pojmując to, com widział.

Nakoniec, gdy w kominku pozostał tylko popiół, odwróciła się i u rzawszy mię — tak jakby się zdziwiła i rzekła z pewnym rodzajem przymusu:

— Jakżeś pan je dostał?

Milczałem, zaczęła znowu:

— Chcę wiedzieć.

— Dostałem sposobem najprostszym — odpowiedziałem — ukradłem.

Przygryzła sobie usta, usłyszawszy ten dobitny wyraz. Potem wstała i znowu zapłakała. Po chwili otarła łzy i nagle, nie mówiąc ani słowa machnęła stanowczo ręką.

Potem, z zimnem postanowieniem, postanowieniem czysto patrycyuszowskiem, usiadła mi na kolanach i objęła za szyję rękoma.

Rozkosz, jakiej wtedy doznałem, była tak wielka, że tego nie określę słowami! Czuć jak ona, ona za którą tak się ubiegałem, ona tak dumna, nieprzystępna, przytuliła mi się do serca... od tego można było umrzeć!...

Ale postanowiłem sobie, że ta kobieta, właśnie dla tego, że była nadzwyczaj dumną, nigdy nie będzie niższą nademnie.

Podniosłem więc ją i posadziwszy już obok na krześle, ukląkłem przed nią.

— Zgadłaś pani, że kocham ją, powiedziałem. To prawda. Pani jest moją pierwszą i moją jedyną miłością. Ale ja to nie tak pojmuję.

Potem, gdy uczuła się urażoną i poczęła spoglądać na mnie tym wzrokiem, który był mi już znany, lekko ująłem ją za ręce i rzekłem:

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kronika tygodniowa.

Nareszcie skończył się kalendarzowy karnawał i weszliśmy z pod znaku pączka pod znak śledzia, większość inteligentów jednak tylko przez imaginacyę, gdyż na podobne zbytki, jak pączek ub śledź, może sobie dziś pozwolić chyba paskarz lub lichwiarz, z uczciwie pracujących zaś, oddający się pracy ręcznej. O ile w początkach karnawału płaciło się za pączek dwieście marek, pod koniec podskoczył on w cenie na dwieście ośmdziesiąt lub trzysta, wzrosła zatem jego wartość, ale nie wielkość lub jakość. Przekonał się o tem na własne swe uszy i oczy kronikarz w jednej z krakowskich cukierni, gdzie na zapytanie o pączki wskazano mu ich pełną tacę, na której rozdzielone były na dwie gromady, niczem sejmowa prawica i lewica, środek zaś świecił pustką. Gdy do cukiernika zwrócił się z prośbą o informacyę, jaka ich cena, dowiedział się, że te z prawej strony kosztują po trzysta, te zaś z lewej po dwieście ośmdziesiąt.

— A jakaż między nimi różnica?... — badał dalej ciekawie.

— Dwadzieścia marek! — odpowiedział pan, którego czyny są słodkie.

Ostatecznie skończyło się na zapytaniu, pokazało się bowiem, że kronikarski budżet nie pozwala nawet w szalone dni na tak szalony wydatek, aby bowiem dojść smaku tych mikro skopijnych specyałów, musiałoby się kupić bodaj po trzy sztuki na każde usta rodzinne, t. j. sztuk piętnaście. Poza tem nasunęła się kwestya, trudna do rozwiązania, podobnie jak kwadratura koła, czy kupić te po trzysta, czy też tamte lewicowe, po dwieście ośmdziesiąt. Skończyło się na tem, że nawet w zapustny wtorek obeszła się rodzina kronikarska bez pączków i z pewnością wyjdzie jej to na duszny i na cielesny pożytek.

Zupełnie podobnie ma się rzecz ze śledziami wielkopostnymi. W dawnych, przedwojennych czasach, gdy byliśmy zupełnie odcięci od morza, dostarczającego śledzi, a o „polskiem morzu" nikt nawet nie wspominał, aby się przypadkiem nie narazić na zarzut nielojalności wobec władz zaborczych, poczciwego śledzia wraz z głową i ogonem i to w nienajgorszym gatunku, kupowało się za cztery centy, dziś, choć głośno mówi się i pisze o „polskiem morzu", w którem są także śledzie, chcąc zadość uczynić tradycyi, musi się być przygotowanym na wydatek około tysiąca marek, czyli innemi słowy, nie było pączków w karnawale, nie będzie na burżujskim stole w wielkim poście i śledzi.

Po tej karnawałowo-postnej introdukcyi możemy się cofnąć myślą w minione czasy, skąd dochodzą nas jeszcze dźwięki foxów, schimmy, sambo i innych nowomodnych łamańców, które uczestników tegorocznych zabaw tańczących przenosiły myślą w głąb Sahary, dając mu wyobrażenie wojennych tańców murzyńskich, a to egzotyczne złudzenie zwiększały jeszcze nad wyraz powiewne i przewiewne toalety damskie, częstokroć zredukowane do minimum. Nie chciało się wierzyć nieraz, gdy się czytało, że jakaś tam paryska modystka przesłała swej klientce, światowej elegantce, najnowszy kostyum balowy w zwykłej kopercie listowej, dziś przekonujemy się, patrząc na nasze anioły bezskrzydłe, że w tem było bardzo mało przesady. Im wytworniejsza i modniejsza toaleta, tem też i oszczędniejsza: u dołu niewiele, u góry jeszcze mniej, coś niecoś zaledwie w środku pozostało. Lekko się to nosi, ale ciężko za to musi się płacić, a małżonek, który w tym roku wyprowadził swą lepszą połowę na cztery zabawy, na każdą oczywiście w innym kostyumie, dobrze sobie musiał drapać łysinę, gdzie szukać pokrycia na te karnawałowe wydatki, idące nie w setki tysięcy, ale w miliony. Nie można się też dziwić, że z tego powodu podrożało wszystko i to w tak przyspieszonem tempie, jakiego nie przewiduje nawet urząd kontrolujący wzrost drożyzny i obliczający ją bardzo skrupulatnie w procentach. Gdy naprzykład w okresie świąt Bożego Narodzenia kupowało się w jednym z krakowskich handli butelkę wina czerwonego „Erlauer" za dwa tysiące sto sześćdziesiąt marek, dziś, w miesiąc zaledwie później, jej rodzoną siostrę oglądać można w oknie wystawowem tegoż samego sklepu z główką ozdobioną zachęcającym napisem: „Cena siedm tysięcy pięćset marek". Kupowanie wina, to wprawdzie zbytek, na jaki sobie nie powinien pozwalać w obecnych stosunkach zwykły śmiertelnik, pracujący głową i rękami, ale przecież zdarzyć się może, że stan jego zdrowia, wywołany powojennymi stosunkami, wymaga czasem szklanki gorącej herbaty z czerwonem winem. Ale, trzeba zerwać z tradycyą i zapomnieć o dawnych domowych receptach, aby, wzmacniając organizm, nie osłabić zbytnio kieszeni. Na podobny wybryk nie można się zdobyć nawet w lutym, najkrótszym miesiącu całego roku.

Skoro mowa o miesiącach i ich długości, warto wspomnieć o bardzo mądrym i praktycznym amerykańskim projekcie, aby zerwać z dawną rachubą czasu, jako przestarzałą, a wprowadzić nową, polegającą na tem, że rok ma odtąd liczyć trzynaście miesięcy, każdy po dwadzieścia ośm dni i jeszcze jeden dzień na dodatek. Wprowadzenie tego nowego podziału przyjęlibyśmy z radością wszyscy ci, którzy żyją ze stałej miesięcznej gaży, otrzymywalibyśmy ją bowiem z urzędu trzynaście razy w roku, a nie dwanaście, jak to bywało dotąd, ponadto za ów dodatkowy dzień musianoby im osobno dopłacać.

Ale wracajmy do karnawału, który był krótki, ale huczny. Zaczął go bal na rzecz „Czerwonego Krzyża", zakończyła reduta urzędników magistratu, środek wypełniły zaś tak rozmaite cele dobroczynne i kulturalne, że trudno jest wszystkie wyliczyć, a wspomnieć o kilku, inne pomijając, nie można, aby ich nie obrazić. Rzecz się z tem ma tak, jak z toaletami balowemi naszych pań. Sprawozdawca balowy, jeśli chce wszystkich, a raczej wszystkie zadowolić, nie powinien nigdy wybierać kilku nazwisk, które tkwiły w najpiękniejszych, jego zdaniem, kostyumach, lecz napisać ogólnie, że „toalety dam były wspaniałe, szczególniejszą świetnością odznaczały się stroje pań B, D, J, K, L, M, N, P, R, S, T, W i Z". Są to prawie wszystkie litery alfabetu, od jakich rozpoczynają się najpopularniejsze u nas nazwiska. Każda z dam, czytając sprawozdanie balowe, jest pewna, że ta litera lub inna odnosi się do niej, a nie do kogo innego, niema z tego powodu kwasów i zazdrości, sprawozdawca wywiązał się bowiem szczęśliwie ze swojego zadania. Niechaj bowiem napisze, że „bajeczną była suknia pani Gwizdakowskiej", a za zapomni wspomnieć o tualecie pani Trzypsztyckiej, ma w tej ostatniej śmiertelnego wroga. Obrażona niewiasta do śmierci nie zapomni mu tej zniewagi, nie daruje pismu, a nawet partyi politycznej, jaką ono reprezentuje i, jeżeli przypadkiem małżonek jej w jej skład wchodzi, zmusi go do zmiany dotychczasowych przekonań, choć byłyby twarde, jak bruk krakowski. A trudno chyba wymagać, aby wszystkie uczestniczki jakiejś zabawy wyliczyć i ka żdej z nich bodaj trzy słowa poświęcić, gdyż w takim razie sprawozdanie balowe musiałoby zająć cały numer o podwójnej lub potrójnej objętości. Panie byłyby z tego może zadowolone, ale tylko przez jeden dzień, natomiast brzydka połowa rodzaju ludzkiego wpadłaby w wściekłość, nie znajdując w tym dniu żadnych wiadomości politycznych ze świata i to w czasie tak poważnym, jak obecny, gdy na prawo i na lewo przygotowują się nadzwyczajne wydarzenia, a marka polska jak leciała, tak leci na łeb.

Pan radca X. jest naprzykład ciekawy, czy nie pociągnie za sobą jakich nieprzewidzianych następstw ów dramat, jaki się rozegrał w Lozannie między członkiem delegacyi tureckiej, a pokojówką hotelową, pan Y. radby wiedzieć, czy owo ziarnko bobu, z którego przyrządzono w Ameryce ucztę dla ośmnastu osób, uczestnikom jej przypadkiem nie zaszkodziło, a tu nic prócz wyliczenia nazwisk pań i wzmianek o ich toaletach.

— A dyabli mnie tam obchodzą, które baby szwendają się po balach i jakie kiecki mają na sobie!... — woła pierwszy z nich zaperzony. — Ja chcę wiedzieć, co się dzieje na szerokim świecie, a nie w Starym Teatrze...

— Gdybym ja to mógł dostać skądś takie ziarnko bobu, albo mieć taką kapuścianą głowę, jak ten artykulik wspominał... — mruczy pan Y, ojciec siedmiorga dzieci. — Myślałem, że w tym uumerze znajdę bliższe dane, a tu nic...

Pod względem finansowym, jak nas ogólnie zapewniają ze sfer miarodajnych, zabawy udały się najzupełniej; brali w nich bowiem udział ludzie, mogący sobie na wszystko pozwolić, bo to, co wydadzą dziś, napłynie im jutro z powrotem do bezdennej ich kieszeni. Dobór towarzystwa nie był może taki, jak po inne lata, na przebieg ochoczej zabawy to jednak bynajmniej nie wpłynęło ujemnie, owszem, ożywiło ją na wet. Odkąd w krakowskim tramwaju zniesiono podział na klasy, zdemokratyzowało się także i całe społeczeństwo, a papierami, stwierdzającymi inteligencyę, są dziś nie pergaminy rodowe lub świadectwa szkolne, lecz bilety bankowe, ułatwiające wstęp wszystkimi i wszędzie.

Jeśli się zatem zabawy tegoroczne powiodły finansowo i potrafiły rozbudzić ochotę biorących w nich udział, w takim razie cel ich w całej pełni osiągnięty. Patrząc na salę balową i na życie, jakie tam wre, każdy musi przyznać, że mieli racyę ci. którzy parli do wojny światowej, wychodząc z założenia, że tego rodzaju burza oczyści duszną atmosferę. Poniekąd się nie pomylili, ale tego nie przewidzieli, że ta zawierucha powyciąga na wierzch takie istoty, które, gdyby nie ona, byłyby w dalszym ciągu siedziały gdzieś w tyle, gdy natomiast same nie wiedząc, skąd i w jaki sposób znalazły się na przodzie i dziś nadają ton całemu życiu. Tych, których dawniej widywało się na salach balowych, obecnie się nie widzi, oni muszą się zadowolić jedynie odczytywaniem sprawozdań balowych i wspomnieniami, dawnych przedwojennych czasów, gdy urzędnika, mającego trzysta koron miesięcznego dochodu, stać było na to, aby bodaj raz w czasie karnawału pokazał się z rodziną na sali balowej i mając córki na wydaniu, spróbował szczęścia, czy się też nie uda przypadkiem złowić jakiegoś kandydata do stanu małżeńskiego i pozbyć w ten sposób tanim kosztem bodaj jednego kłopotu z głowy. Dziś dochody jego miesięczne dochodzą prawie pół miliona, ale na podobną ekstrawagancyę się nie odważy, bo i dochody jego na to nie pozwalają i wie dobrze, że na sali balowej nie znalazłby tego, czego szuka. Nowoczesnej młodzieży nie żeniaczka w głowie.

Siedzi sobie zatem poczciwy burżuj, inteligent umysłowo pracujący w swem mieszkaniu i to po ciemku, bo nafta droga, dmucha w garść, gdyż mu zmarzła i narzeka nad tem, jaka ta Opatrzność jest niesprawiedliwa, skoro jednym daje dużo, a drugim nic. U nas zimno i węgle drogie, na piec w mieszkaniu patrzy się jak na coś, co przypomina dawne dobre czasy, rozmyślając nad tem, kiedy też będzie u nas lepiej, gdy tymczasem naprzykład Włosi są od nas w daleko korzystniejszem położeniu, a do tego wszystko układa im się po myśli. We Włoszech jest daleko cieplej, można się obejść bez węgli, przyczyniają się do tego z pewnością obydwa wulkany, Etna i Wezuwiusz, ogrzewając w centralny sposób atmosferę, ponadto, jak doniosły telegramy, wybuchł tam podobno koło Udine jeszcze trzeci wulkan, będą więc mieszkańcy uroczej Italii mieć aż za dużo ciepła i będą je mogli sprzedawać sąsiadom z wielką dla siebie korzyścią. Czy nie przydałby nam się bodaj jeden taki wulkan, rzecz prosta, nie w bezpośrednim sąsiedztwie Krakowa, ale w każdym razie tak blisko, aby jego ciepło do nas dochodziło. Magistrat mógłby z tego powodu ściągać corocznie niechby nawet i po pięćset marek od głowy, miałby ładny dochód na załatanie dziury w budżecie, a obywatele spokój z kwestyą opałową. Wprawdzie bliskość wulkanu naraża i na niebezpieczeństwo trzęsienia ziemi lub zasypania popiołem, ale my do tego jesteśmy przyzwyczajeni, gdyż u nas kamienice walą się z własnej ochoty, a kupa śmieci jak rok długi pokrywa nasze ulice i place.

Na żałosne rozmyślania będziemy mieć dość czasu przez sześć tygodni wielkiego postu, niniejsza kronika jest pierwszą dawką gorzkiej wody, mającej oczyścić nasze serca i sumienia, zapaskudzone zdrożnościami karnawałowemi, by je przygotować do godnego obchodzenia Świąt Wielkanocy, które będą drogie dla każdego, skoro już dziś kilogram szynki kosztuje dziesięć tysięcy marek, a przez sześć tygodni podskoczy cennik jeszcze przynajmniej z piętnaście razy.



Konkurs piękności na reducie prasy w Krakowie: P. Hanka Ossolińska, która zdobyła nagrodę Syndykatu Dziennikarzy krakowskich.

ków Akademii Umiejętności, w której obecnie jest przewodniczącym na dwu wydziałach.

W roku 1921 upłynęło lat 50 od ogłoszenia drukiem pierwszej naukowej pracy jubilata.

W roku 1875 ukazało się dzieło jubilata o „florze polskiej". Za pracę „O śluzowcach" w r. 1875 dostał wielki medal od rządu francuskiego. W księdze „O podzielności jaja i morszczynów" (1877 r.) opublikował doniosłe odkrycie z zakresu fizyologii roślin. Z powodu 500-letniego jubileuszu Wszechnicy Jagiellońskiej w 1900 r. ogłosił w „Pamiętnikach średniowiecza" dwa tomy „Średniowiecznej historyi naturalnej" oraz „Historyę medycyny w XV wieku". dzieła będące owocem mozolnych studyów i benedyktyńskiej cierpliwości. Praca jubilata „O pierwotnych siedzibach słowian" (1908) zyskała rozgłos w całym świecie naukowym, ponieważ na podstawie gruntownych badań, autor rzucił nowe światło na ciemne dotychczas zagadnienie historyczne.

Oprócz podręczników z dziedziny botaniki, cieszących się wielką wziętością, prof. Rostafiński napisał cały szereg bardzo cennych studyów i szkiców z dziedziny etnografii, dziejów przyrodnictwa, prahistoryi polskiej i literatury. Z prac przeznaczonych dla szerszego koła czytelników, wyróżnić należy: „Świat i ludzie Algieru" (wydanie drugie w Krakowie 1896 roku, nakładem G. Gebethnera) w tej zajmującej księdze autor połączył gruntowność z właściwą sobie wysoką kulturą literacką i szlachetnością formy, cechującą wszystkie jego dzieła.

W ostatnich czasach prof. Rostafiński zajmował się poezyami Mickiewicza. W r. 1921 ogłosił rozprawę p. t.: „Las, bór, puszcza, matecznik w poezyi Mickiewicza", a w r. 1922 „Wpływ przeżyć chłopięcych Mickiewicza na obrazy ostatnich dwu ksiąg Pana Tadeusza". Obecnie prof. Rostafiński kończy książkę, która będzie bogato illustrowana, p. t. „Przyroda w poezyi Mickiewicza pod względem przyrodniczym, historycznym i kulturalnym".

Ponieważ prof. Rostafiński nie lubi ostentacyi, uroczystość jubileuszowa odbyła się w jego mieszkaniu bez głośnych zapowiedzi. Cicho bez szumnych deklamacyi uczczono półwiekowe trudy i zasługi uczonego i pisarza, którego dzieła i badania, stanowią cenny i wiecznotrwały dorobek nauki polskiej. Jako przewodnik młodzieży, zacny obywatel i ojciec rodziny, należy prof. Rostafiński do najbardziej zasłużonych i szanownych postaci naukowego świata w Krakowie, a jego jubileusz powinien w całej Polsce znaleźć oddźwięk sympatyczny.

Konkurs piękności na reducie prasy.

Jedną z najbardziej interesujących atrakcyi na reducie prasy w Krakowie był konkurs piękności. Budził on zrozumiałe zaciekawienie. Na zabawie tej było tyle pięknych pań, że komisya, któraby chciała ten ciężki problem rozstrzygnąć, byłaby w niemałym kłopocie. Bo jak wybrać z żywego bukietu najpiękniejszych kwiatów jeden, którby był „najpiękniejszym z najpiękniejszych"? Tego trudnego zadania, któremu nie podołałaby najbardziej ukwalifikowana komisya znawców, dokonał „vox populi". Na mocy „plebiscytu" wyszła zwycięsko z tego turnieju jako „najpiękniejsza z najpiękniejszych" p. Hanka Ossolińska i ona otrzymała nagrodę Syndykatu Dziennikarzy krakowskich.

Przy tej okazyi musimy zdradzić tajemnicę, iż redakcya *Nowości Illustrowanych*, zachęcona wynikiem konkursu na reducie prasy, przystępuje do zorganizowania własnego konkursu piękności. Warunki jego ogłosimy w następnym numerze.



Nowy maryaż w angielskiej rodzinie królewskiej: Lady Elżbieta Bowes-Lyon, narzeczona Alberta księcia Yorku.



Piotr Nolhac członkiem Akademii Francuskiej: Na uroczystem zebraniu zarządu Muzeum Jacquemart-Andre wręcza Paléologue p. Nolhacowi honorową szpadę akademicką, ofiarowaną mu przez „Przyjaciół Wersalu".



Zamordowanie metropolity prawosławnego w Warszawie: Egzarcha Cerkwi prawosławnej w Polsce, Jerzy Jaroszewski, zamordowany w Warszawie w dniu 9. b. m. przez archimandrytę Smaragda. Fot. S. Wclski, Warszawa.

Piotr Nolhac
członkiem Akademii Francuskiej.

Zastęp „nieśmiertelnych", zajmujących czterdzieści foteli Akademii Francuskiej, przeznaczonych dla najwybitniejszych przedstawicieli nauki, zostaje od czasu do czasu uzupełniany przez powołanie nowych członków w miejsce zmarłych. Najszczytniejsze marzenie każdego Francuza, pracującego na polu naukowem, to zielony frak akademicki, ozdobiony złotymi liściami palmowymi, a każdorazowa uroczystość ingresu nowego akademika, to w Paryżu zdarzenie dnia, gromadzące w sali posiedzeń Akademii kwiat francuskiego społeczeństwa.

W ubiegłym miesiącu odbyło się wprowadzenie w szeregi członków Akademii Francuskiej Piotra de Nolhac, wybitnego humanisty, historyka i poety. Zajął on fotel Nr. 32., opróżniony przez śmierć znakomitego filozofa, Emila Boutroux.

Uświęconym tradycyą zwyczajem zagaił uroczyste posiedzenie Maurycy Donnay, poczem nowy akademik wygłosił mowę, poświęconą zasługom swego poprzednika na fotelu Nr. 32. Okoliczności tak się złożyły, że zmarły Boutroux ożeniony był z kuzynką obecnego premiera francuskiego, Poincarégo, zasiadającego również w gronie „nieśmiertelnych". To dało powód do burzliwej manifestacyi na cześć wielkiego polityka i męża stanu, któremu Francya ma tyle do zawdzięczenia.

Z kolei zabrał głos Maurycy Donnay, witając imieniem Akademii nowego członka i podnosząc jego zasługi.

Piotr de Nolhac, wychowanek uniwersytetu w Clermont Szkoły Wyższych Studyów i Szkoły Francuskiej w Rzymie, od najmłodszych lat objawiał najżywszy pociąg do twórczości poetyckiej. Jego praca doktorska pod tytułem „Petrarka i humanizm", w której cytuje 754 autorów, zwróciła na siebie powszechną uwagę. W r. 1892 zostaje de Nolhac konserwatorem Muzeum w Wersalu, które to stanowisko piastuje aż do r. 1919. W ciągu przeszło ćwierćwiekowej pracy w Wersalu de Nolhac kładzie olbrzymie zasługi na polu konserwacyi słynnego Muzeum i wydaje szereg pierwszorzędnych dzieł historycznych. W r. 1919 de Nolhac obejmuje stanowisko dyrektora Muzeum Jacquemart-André i wydaje wielkie studyum o ojcu humanizmu Ronsard'zie.

Olbrzymia erudycya, wysoka kultura umysłowa, świetny talent pisarski, oto charakterystyka nowego „nieśmiertelnego".



Nowy Kraków: Gmach „Bazaru Polskiego" na rogu ul. Wielopole i Starowiślnej.

Nowy maryaż w angielskiej rodzinie królewskiej.

Angielski dwór królewski pozostaje obecnie pod znakiem Hymenu. W ubiegłym roku córka pary królewskiej, księżniczka Marya, wyszła za mąż za arystokratę angielskiego, wicehrabiego Lascelle, w ostatnich czasach rozeszła się po kraju wieść o rzekomych zaręczynach następcy tronu, księcia Walii. Wybranką jego serca miała być również nie osoba, należąca do którejś z rodzin panujących, ale rodowita angielka, co przez ogół angielski przyjęte zostało z żywem zadowoleniem, jakkolwiek bowiem władca „Zjednoczonego Królestwa" jest królem i cesarzem właściwie tylko *de nomine*, uczucia monarchiczne i przywiązanie do dynastyi są w kraju głęboko zakorzenione.

Na temat nowego związku małżeńskiego mówiono i pisano wiele, ale bez realnej podstawy, jak się bowiem w rezultacie pokazało, książę Walii nie dokonał jeszcze wyboru, zaręczył się natomiast jego młodszy brat, Albert książę Yorku.





Po zgonie króla Konstantyna: 1) Książę Ypsilanti, niosący podczas prowizorycznego pogrzebu króla Konstantyna w Neapolu, koronę królewską. 2) Królowa wdowa Zofia z księciem Mikołajem i księżna Aosty w chwili przybycia zwłok ex-króla do Neapolu

z przedstawicielką staroszlacheckiej rodziny szkockiej, lady Elżbietą Bowes-Lyon, córką hrabiego of Strathmore and Kinghorne. Do rodziny narzeczonej należy słynny w dziejach Szkocyi warowny zamek z XIII wieku Glamis Castle, ongi własność Macbeth'a i miejsce zamordowania króla Dunkana. Z zamkiem tym wiąże się niezliczona liczba legend, niejednokrotnie nadzwyczaj fantastycznych, jest on też celem licznych odwiedzin turystów. Opowiadają, że wesoła lady Elżbieta często przebrana za pokojówkę, oprowadzała po zamku zwiedzających, opowiadając im smalone duby o duchach i upiorach i... przyjmując napiwki.



Reorganizacya czerwonej armii: Zimowy (na lewo) i letni (na prawo) uniform piechoty bolszewickiej.

Po zgonie króla Konstantyna.

Jak już poprzednio donosiliśmy, zmarł w dniu 11. stycznia b. r. w Palermo, gdzie spędzał dni swego drugiego wygnania, były król grecki, Konstantyn. Człowiek w sile wieku, wypadkami ostatnich czasów dotknięty był wprawdzie bardzo srogo, nikt jednak nie spodziewał się, że katastrofa nastąpi tak szybko. Zmarł nagle, na atak mózgowy, bezpośrednio przed swym wyjazdem do Neapolu, skąd miał zamiar udać się do księcia Aosty na jego zaproszenie.

Zwłoki zmarłego przewieziono na pokładzie włoskiego statku *Italia* do Neapolu w dniu 14. stycznia b. r. i tamże złożono je prowizorycznie w greckim kościele aż do chwili uzyskania ze strony rządu greckiego zezwolenia na przewiezienie ich do kraju. Ceremonia pogrzebu, według obrządku greckiego, odbyła się w Neapolu w obecności królowej wdowy, Zofii i członków najbliższej rodziny. Port neapolitański i ulice, któremi kondukt pogrzebowy, prowadzony przez archimandrytę Kantosa, przeciągał do kościoła greckiego, przepełnione były publicznością, zwłokom ex-króla oprócz rodziny towarzyszyli przedstawiciele włoskiego dworu, rządu i wojskowości. Na trumnie, okrytej greckim sztandarem, a umieszczonej na lawecie działa, złożono liczne wieńce, w pochodzie niesiono koronę królewską, a straż honorową tworzył oddział wojska z muzyką i pompierzy. Neapolitańska kolonia grecka wystąpiła *in corpore*.

Reorganizacya armii czerwonej.

Rząd bolszewicki zrozumiał dobrze znaczenie silnej i dobrze wyćwiczonej armii, która ugruntowałaby jego powagę wewnątrz kraju i pozwoliła zabierać skutecznie głos w sprawach ogólno-światowych, skoro dziś liczą się tylko z tym, kto ma siłę poza sobą.

Po przewrocie z dawnej armii carskiej pozostała jedynie bezładna i zdezorganizowana gromada komunistycznie usposobionych czerwonych gwardzistów, rząd bolszewicki postarał się więc przedewszystkiem o to, aby w jak najkrótszym czasie wprowadzić porządek w tym kierunku.

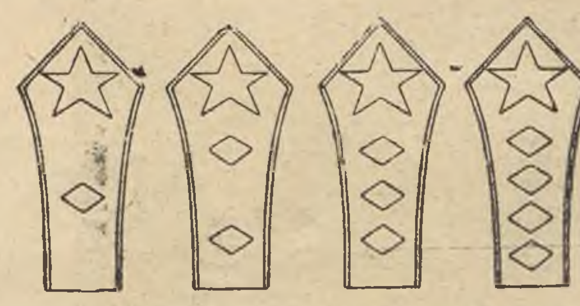
Przystąpiono do dzieła z całym pośpiechem. 28 stycznia 1918 roku ukazał się dekret o organizacyi ochotników czerwonej armii, robotników i chłopów, jak również kilka miesięcy później nowy dekret (który do dziś dnia istnieje z pewnemi zmianami), o tworzeniu tej armii na zasadzie przymusowego poboru. I to gwałtowne przejście od teoryi armii ochotniczej do armii normalnej, polegającej na powszechnym zaciągu, jest nader charakterystyczne dla rządu bolszewickiego.

Narazie armia ta walczyła wewnątrz państwa dla ugruntowania autorytetu rządu bolszewickiego. W tych warunkach oczywiście nie było mowy o prawidłowej organizacyi. Sporadycznie utworzono oddziały, posyłając je później na zagrożony front. W ten sposób powstały liczne dywizye, które poszły na pierwszy ogień.

W chwili podpisania pokoju ryskiego 18-go marca 1921 r. armia bolszewicka osiągnęła największy rozwój liczebny, niemniej jednak była w okropnym nieładzie. Liczyła natenczas 70 dywizyi piechoty, 17 dywizyi jazdy i około 2500 armat. Ludzi, którzy pełnili służbę w tej armii, było około 5 milionów. Wojsko olbrzymie zniknęło jednak po strasznej klęsce nad Wisłą.

Co do istotnej organizacyi armii, to była ona najdziwaczniejsza, jak tylko można sobie wyobrazić. Oficerowie i podoficerowie, zmuszeni wziąć udział w działaniach wojennych, bez możności połączenia w grupy podczas określonego czasu, żeby się oddać systematycznej pracy, bez instruktorów (ta rola nie mogła być powierzoną starym oficerom, uważanym za zbyt reakcyjnych), bez wyraźnych ustaw — to wszystko świadczyło o największej nieświadomości tego, co tyczy się sztuki i administracyi wojskowej.

Natychmiast więc po zawarciu pokoju przystąpiono do opracowania programów dla administracyi wojskowej. Oprócz szkół centralnych każda dywizya, każda brygada posiada oddzielne kursy dla oficerów i podoficerów. Wyniki tej pracy są istotnie znaczne. W połowie 1922 roku istniało mniej więcej 250 szkół wojskowych z przeszło 50.000 uczniami. Również wiele jest specyalnych szkół polityczno-wojskowych dla młodzieży. Cała literatura wojskowa odgrywa w tej mierze dużą rolę. Oprócz peryodycznych tygodników wojskowych ogłasza się wiele wykładów z doświadczeń ostatniej wojny.



Reorganizacya czerwonej armii: Odznaki komendantów armii.



Reorganizacya czerwonej armii: Odznaki bolszewickiej artyleryi, kawaleryi i inżynieryi.



Reorganizacya czerwonej armii: Uniform żołnierzy i oficerów marynarki.

Obecnie jest w ruchu 52 fabryki broni, z których 10 broni wybuchowej, 10 armat, 6 broni palnej, 15 aeroplanów.

Faktem jest jednakże, że żołnierz czerwonej armii w dużym stopniu musi liczyć na własny spryt i „przemysłem" starać się o wyżywienie. W najgorszem jednak położeniu znajduje się przewóz niezbędnych artykułów. Należy bowiem zauważyć, że stan kolei żelaznych jest opłakany i że natrafia się na wiele trudności w zdobywaniu węgla.

Nowy Kraków.

W poprzednich numerach zamieściliśmy zdjęcia z nowowzniesionych budynków w Krakowie, illustrując w ten sposób pocieszający fakt, że ruch budowlany w każdym razie nie ustał zupełnie. W szeregu nowych budynków, które wzniesiono w ostatnich czasach w Krakowie, należy wymienić wykończony w lecie roku ub. gmach na rogu ulicy Wielopole i Starowiślnej, specyalnie wzniesiony na pomieszczenie Bazaru polskiego (magazynów z najrozmaitszymi towarami). Na dachu tego wysokiego gmachu została urządzona letnia kawiarnia z pięknym widokiem na Kraków.

W niniejszym numerze zamieszczamy zewnętrzny widok Bazaru polskiego.



Reorganizacya czerwonej armii: Najnowsze odznaki różnych rodzajów broni po reorganizacyi.

Z sali koncertowej.

„Krakowskie Biuro Koncertowe E. Bujański“, które od szeregu lat kieruje u nas ruchem koncertowym i zapoznało naszą publiczność z szeregiem wielkich artystów, pozyskało obecnie na koncert w Krakowie Dymitra Smirnowa, tenora o światowej sławie. Znakomity śpiewak, który jest



Z sali koncertowej: Dymitr Smirnow.

podziwiany nie tylko w Europie, ale także w Ameryce i Australii wystąpi w niedzielę 18. b. m. w Starym Teatrze z p. Bertą Kreisberg, jedną z najświetniejszych pieśniarek. Akompaniować będzie doskonały pianista dr. Piotr Sirota z Berlina.

Zapowiedziany koncert, który otworzy drugą serję „wielkich koncertów“ „krak. biura koncerto-



Z sali koncertowej: Berta Kreisberg.

wego E. Bujański“ w bieżącym sezonie, wywołał w naszem mieście, jak było do przewidzenia, zrozumiałe zainteresowanie.

Do P. T. Fotografów!

P. T. Fotografów, tak zawodowych jak amatorów, upraszamy uprzejmie o nadsyłanie nam robionych przez się zdjęć ciekawszych wypadków, mogących zainteresować ogół Czytelników, celem reprodukowania ich w naszem piśmie. Do każdego zdjęcia należy dołączyć notatkę, zawierającą treściwie zebrane szczegóły, ewentualnie wskazać numer któregoś z pism codziennych, gdzie znajdowała się już odpowiednia wzmianka.

Za nadesłane nam zdjęcia, o ile nadadzą się po umieszczenia w naszem piśmie, wypłacać będziemy ustalone za wzajemnem porozumieniem honoraryum, jakoteż na żądanie zamieszczać pod ryciną nazwisko lub firmę wykonawcy zdjęcia.

Nadają się do tego w szczególności obchody narodowe, towarzyskie, rocznice, zgony wybitnych osobistości i td., przedewszystkiem zaś zdjęcia, odnoszące się do senzacyjnych wypadków dnia, zaszłych w miejscu lub okolicy. Pospiech w nadsyłaniu fotografii (nie naklejanych na karton) jest wskazany.

Przesyłki upraszamy adresować: *Redakcya „Nowości Illustrowanych“, Kraków XV., ul. Kazimierza Wielkiego l. 95.*

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Rudolf Szenowicz. Klisze własnego zakładu. Druk. D. E. Friedleina, pod zarz. L. Gronusia.